Woda ledwo się marszczy



Ryszard T. Sawicki *(Namysłów)*

Nim wody rzeki staną się wezbrane, wypływają cicho z niewielkiego źródła. A źródło bije w dolinie, wśród spłaszczonych wierzchowin poprzecinanych wąwozami o stromych stokach. To źródło rzeki Bug. W pobliżu źródeł Bugu znajduje się też źródło rzeki Seret. Okolica leży na europejskim dziale wodnym, na którym schodzą się dorzecza Wisły, Dniestru i Dniepru. Doliny i wzgórza są przeważnie zalesione, lecz wśród ogromnych, dzikich lasów znaleźć można ogrody zasadzone i utrzymywane przez mieszkańców tych ziem.

Źródło rzeki Bug wytryska w niewielkiej wsi Werchobuż, gdzie w sadach kwitną wiosną drzewa czereśni, a jesienią czerwienieją owoce kaliny. Kwitną dziś tak samo, jak kwitły onegdaj, kiedy okolic nie dotknęła jeszcze zagłada, którą przyniósł wiek dwudziesty. W poprzednich wiekach powstawały i zanikały rozmaite siedziby ludzkie, lecz zagłada wieku dwudziestego miała o wiele większą skalę. Skalę, której nie było równych. Kto przeżył ten okres historii, ten wydarzenia wspomina z trwogą, nawet, jeśli kiedyś dzielnie stawiał czoła przeciwnościom, nie poddawał się złu, lecz z nim

walczył. Kto ich nie przeżył, ten słucha opowieści z lękiem, który tym tylko różni się od trwogi, że nawiedza w chwili, gdy zagrożenie minęło, nie czai się w czeluści dzikiej kniei. Jest daleko; rzec by można, że zostało za siedmioma górami, siedmioma lasami. Tam, gdzie rzeka, która znalazła już spokojny bieg, odnawia się teraz w innym czasie, płynie jakby z innego źródła.

Opowieść, której wysłuchałem nie była dla mnie nowa. Była powtórzeniem tej, którą wcześniej przeczytałem. Ale czym innym jest słuchanie opowieści z ust żyjącego świadka historii, a czym innym odczytywanie z druku lub rękopisu, choćby tekst był napisany przez tę samą osobę. Opowieści o wydarzeniach, które miały miejsce w okolicy, gdzie biją źródła Bugu, wysłuchałem z ust osoby mi bliskiej, starszej ode mnie o kilkadziesiąt lat. Wcześniej czytałem tekst, który spisała, a także mogłem porównać jej opowiadanie z opowiadaniami innych osób, byłem więc przygotowany na to, co usłyszę. Jednak słuchałem i tym razem nie bez lęku, że znów poczuję, jak w świadomość zapadają obrazy, które zapisały się w ułamkach zwierciadła, a jego ułamki, tak samo jak zapisane w nich obrazy, kaleczą i sprawiają ból. I będę musiał, jak bywało przedtem, *wyjąć z oczu bolesne szkło*, o którym czytałem w tomie wojennej poezji. Wolałbym czytać taki na przykład wiersz: *Woda ledwo się marszczy i ledwo oddycha, gładka i równa, wezbrana i cicha*. I jeszcze inaczej: *O Bugu, czystych wód święty kryształe… nie pali twej wody od wierzchu do głębi spiekota w południa zacisze.* Ale powrót do tych starych wierszy sprzed kilku wieków jest trudny, bo to dwudziestowieczna poezja, nie starsza, wypływa pierwsza na powierzchnię świadomości, gdy słucha się opowieści o doświadczeniach współczesnych, żyjących jeszcze, bliskich osób. Takich, jak przyrodnia ciotka mego ojca, Maria.

Ciocia Marysia jest córką pradziadka Józefa, ale ojciec nie nazywał jej ciocią, bo jest starsza od niego tylko o trzy lata. Pradziadek Józef ożenił się po raz drugi w późnym wieku, a Marysia przyszła na świat, gdy miał sześćdziesiąt trzy lata. W roku 2009 ojciec obchodził dziewięćdziesiąte czwarte, a Maria dziewięćdziesiąte siódme urodziny. Mimo, że jest starsza, cieszy się lepszą pamięcią od ojca. To właśnie ona spędziła najmłodsze lata w pobliżu źródeł Bugu, w leśniczówce swojego ojca, a mego pradziadka.

Nigdy nie byłem w tamtych okolicach. Przekroczyłem wprawdzie kilka razy Bug, ale

nie dotarłem do źródeł rzeki. Czytam więc, by sobie rozszerzyć horyzont, *Przewodnik po Galicji* opracowany przez Orłowicza i wydany w 1914 roku. Na stronie 98 i 99 odnajduję opis pasma Woroniaków, czyli wzgórz, które *stanowią północną krawędź wyżyny podolskiej i biegną od Gołogór ku Krzemieńcowi*. Miejscowości takie, jak Biały Kamień, Podkamień, Olesko, Podhorce, Pieniaki i Huta Pieniacka leżą właśnie w pobliżu źródeł Bugu. A także rozległa wieś Gawareczyzna, na skraju której była leśniczówka pradziadka.

Wieś założona została jako osada garncarzy produkujących czarną ceramikę. Przed drugą wojną światową ludność w dalszym ciągu zajmowała się garncarstwem. Na południowym zboczu Woroniaków, nad Bugiem, około pięciu kilometrów na południowy zachód od Gawareczyzny, leży niewielkie miasto Biały Kamień z kościołem fundowanym przez Wiśniowieckich. Na wschód od miasta są ruiny zamku zbudowanego w siedemnastym wieku przez Jerzego Wiśniowieckiego, a zniszczonego przez Turków i Tatarów. Jerzy Wiśniowiecki podejmował tam Jana Kazimierza podczas królewskiego pochodu na oblężony Zbaraż. Orłowicz podkreśla, że ze zrujnowanych murów i baszty rozciąga się piękny widok. Na północy, po drugiej stronie rozległego lasu, leży wieś Terebieże. W prostej linii na południe, po prawej stronie Bugu, wznosi się Święta Góra, a po drugiej stronie rzeki trzy inne szczyty. Na płaskim szczycie góry wytryska źródło, którego wodzie okoliczni mieszkańcy przypisywali cudowne właściwości. Pradziadek Józef najwidoczniej też wierzył w świętość góry i źródła, bo pracując wytrwale przez kilka lat zbudował z okolicznych kamieni kapliczkę i ustawił w niej małą figurkę Matki Bożej. Do tego miejsca cała rodzina chodziła często na spacery, co zostało uwiecznione na kilku ocalałych fotografiach. Najlepsza z nich przedstawia mężczyznę z długą białą brodą, młodą kobietę i dwójkę dzieci. To Józef, jego druga żona Helena, córka Marysia i syn Czesław.

Marysia, dziś dziewięćdziesięciosiedmioletnia staruszka, wspomina te spacery z rozrzewnieniem, zwłaszcza teraz, gdy do pobliskiego kościoła Jezuitów w Jarosławiu trudno jej dojść bez czyjejś pomocy.

Podczas mojej parodniowej wizyty wspominała nie tylko spacery na Świętą Górę. Długo opowiadała o nocnej wędrówce przez las latem 1918 roku. Miała wtedy pięć lat. Pewnej nocy matka zbudziła ją i brata, kazała szybko się ubrać, w czym

pomagała niania, Rózia. Ubranym, ale zaspanym wciąż dzieciom, rodzice wyjaśnili, że muszą natychmiast udać się w długą i niebezpieczną podróż. Dzieci miały się zachowywać bardzo grzecznie i cicho, zwłaszcza podczas marszu przez las. Matka wzięła ręczny bagaż, ojciec latarkę i laskę, gajowy usadowił na plecach Czesia, a Marysia znalazła się na plecach niani. Po chwili cała szóstka nocnych wędrowników opuściła dom i weszła na leśną ścieżkę. Pięcioletnia Marysia bała się, ale nie płakała. Wpatrywała się w słabe światełko latarki, którą niósł ojciec. Szedł przodem, oświetlał ścieżkę. Światełko żywego ognia migotało zza szybek latarki, raz ginęło za postacią ojca, to znów pojawiało się, a jego pojawienie się dodawało dziecku otuchy. Z głębi lasu dochodziły trzaski łamanych gałęzi, a wędrowcy nie wiedzieli, czy czai się tam zwierz, czy człowiek. Trzaski mieszały się z szelestem igliwia oraz liści rozgniatanych pod stopami idących. Gdyby miała o kilka, może kilkanaście lat więcej, Marysia umiałaby zapewne opisać wierszem te wędrówkę, tak jak umiał jej ojciec. Może byłyby to wiersze podobne do takiego na przykład utworu.

Co to za dziwne dobiegają głosy,

kiedy nad głową cała puszcza szumi i swych pokoleń opowiada losy.[…]

Puszcza – to wielka jest natury księga!

Niema – a mówi kto ją duchem pyta

i kto do dziejów i natury sięga,

z niej tylko cząstkę tajemnic odczyta.

Albo inaczej.

Przez tę ciszę twoją,

zaklinam ciebie,

niech mnie ukoją

twe szumy.

I jeszcze inaczej.

Idzie noc srebrna, zadumana,

osnuta siecią mgieł pajęczą,

a przed nią boru czarna ściana

zamykająca świat obręczą.

A przed nią stare szumią drzewa, sosny srebrnieją od księżyca,

ciepły już z dala wiatr zawiewa, pachnie jałowiec i żywica.

Noc wchodzi srebrna w bór wiekowy,

wkoło się jodły modląc chwieją, sosny zielone chylą głowy,

czar tajemniczy idzie knieją.

Tak pisali rozmaici poeci, a ojciec Marysi pisał podobne wiersze o podolskich jarach, o lesie. Ale o tym dowiedzieć się miała dopiero po latach.



Marysia nie pytała dokąd zmierzają. Wyczuwała skupienie i lęk dorosłych, sama też bała się coraz bardziej. Trzymała się kurczowo ramion niani, aż ta musiała czasem delikatnie rozluźnić jej zaciśnięte piąstki. Marsz w niczym nie przypominał spacerów na Świętą Górę, ani innych wędrówek przez las lub dnem jaru. Wędrowali długo, a dzieciom wydawało się, że wędrówka nigdy się nie skończy. Wreszcie doszli do stacji kolejowej w miejscowości Ożydów i wsiedli do pociągu jadącego do Przemyśla, po drugiej stronie Bugu. Było to pierwsze przejście Marysi przez rzekę.

O Bugu, którego głębiny nie zmierza

ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,

ni trzoda bliskiego pasterza

swawolnym pływaniem nie brudzi […]

jak miło się wsłuchać w twój szelest i gwary

pisał Maciej Kazimierz Sarbiewski. Zmęczonym i przerażonym wędrowcom rzeka nie była tym, czym była niegdyś, dla pasterzy i poetów, którzy opiewali pasterskie, pogodne życie. Wydać się mogła raczej rzeką, która

wszystko podzieli na wiosnę i jesień,

na zimy siwe, pory wszystkich lat. […]

ujrzy nas i uniesie […]

a czasem w niej westchnienie, co o oddech prosi […]

i myją w niej krwawe dłonie ci, którzy zabili.

Późnym popołudniem zapukali do drzwi babci Marii na Zasaniu. Mieszkanie było już przepełnione, bo znaleźli w nim schronienie również inni uciekinierzy: wuj Stefan z żoną i córką w wieku Marysi. Pobyt u babci był dla trójki dzieci okresem nieoczekiwanych, a miłych wakacji, lecz dorośli martwili się o pozostawione mienie. Nie wiedzieli, czy będą mieli do czego wracać, kiedy niebezpieczeństwo minie. Docierały do nich groźne wieści. Dowiedzieli się, że ucieczkę podjęli w ostatniej chwili, bo nazajutrz rano splądrowano leśniczówkę pozostawiając tylko ciężkie meble. Wiedzieli, że w razie gdyby zostali, ich los byłby przesądzony. Przypisywali ocalenie Opatrzności, która czuwała nad pielgrzymami do Świętej Góry.

Po powrocie przywitały ich uszkodzone, lecz własne ściany, przez okna mogli oglądać te same drzewa i krzewy. Kapliczkę znaleźli nieuszkodzoną, o czym przekonali się, gdy weszli na górę, by za ocalenie podziękować Matce Bożej. Życie potoczyło się dalej, jak toczy się rzeka, gdy minie stopnie wodospadów, a jej powierzchnia *ledwo się marszczy, gładka i równa, spokojna i cicha.* Lecz po nocnej wędrówce przez las Marysia nie od razu pozbyła się lęków. Gdy patrzyła na ścianę lasu za domem, wcale nie miała ochoty wchodzić na żadną leśną ścieżkę. Dziecinne strachy musiały ustąpić jednak przed obowiązkami szkolnymi. Marysia zaczęła chodzić do szkoły w Gawarzeczyźnie, a potem w Białym Kamieniu. Z Gawareczyzny do Białego Kamienia było nieco bliżej niż do stacji kolejowej w Ożydowie. Szło się na południowy zachód, a nie na północ, lecz także trzeba było przejść przez okoliczne lasy. Marysia nie chodziła długo do tej szkoły. Widząc każdego ranka niechęć do wyjścia z domu i zmęczenie po każdym szkolnym dniu, rodzice zdecydowali umieścić Marysię w zakładzie Sióstr Miłosierdzia. Ale i to rozwiązanie okazało się zbyt uciążliwe dla wrażliwej i wątłej dziewczynki. Do czwartej klasy Marysia poszła w

Tarnopolu, gdzie mieszkał starszy syn ojca z pierwszego małżeństwa, Bronisław. Było to dość duże miasto liczące, według Orłowicza, około trzydziestu pięciu tysięcy mieszkańców. W mieście były trzy gimnazja, szkoła realna, szkoła przemysłowa, seminarium nauczycielskie oraz kilka szkół prywatnych.

Bronisław miał dobrą pracę jako inżynier w dyrekcji kolei, zajmował z żoną ładne, obszerne mieszkanie. Jego żona miała na imię Helena. Kilka lat wcześniej stracili własne dziecko, a Helena nie mogła mieć więcej dzieci. Wydawało się, że obecność Marysi w domu stryjostwa będzie dla wszystkich błogosławieństwem, lecz zamiast opiekuńczej troski, Helena zaczęła przejawiać wrogość wobec gościa. Jedynie siostra Heleny i jej matka były dobre dla Marysi. Przychodziły w odwiedziny dość często, starały się łagodzić sytuację. Zaczęły uczyć Marysię grać na pianinie, kupowały rozmaite smakołyki, w zimie wypożyczały dla niej łyżwy i zabierały na tarnopolską ślizgawkę. Ich zabiegi okazały się jednak mało skuteczne, bo Helena miast coraz mniej, coraz bardziej dokuczała dziecku. W końcu rodzice postanowili zabrać córkę do domu, choć to wiązało się z koniecznością przedwczesnego zakończenia edukacji.

W rodzicielskim domu wszystko wyglądało po staremu. Ojciec był niezwykle gościnnym człowiekiem, zapraszał rodzinę i znajomych, przyjmował na wakacje dzieci i młodzież. Lubił żartować i rozmawiać. Marysi nie brakowało więc towarzystwa. Mimo, że przeszedł na emeryturę jako nadzorca klasztornych lasów, w związku z czym rodzina musiała opuścić obszerną leśniczówkę i zamieszkać w małej gajówce, prowadził nadal gospodarstwo na dzierżawionych od klasztoru polach. Nie robił tego sam, ale podnajmował ziemię okolicznym rolnikom, a ci dzielili się z nim plonami. Urządzał też duże festyny na rynku w Białym Kamieniu, które gromadziły tłumy uczestników z okolicznych miejscowości. Oprócz jarmarcznych gier i zabaw, sprzedawano czarną ceramikę z warsztatów gawareckich rzemieślników oraz produkty pól i lasów. Niestety, ojciec zmarł po dwunastu latach od przejścia na emeryturę, a Siostry Miłosierdzia nakazały rodzinie opuścić gajówkę w ciągu dwóch tygodni.

Śmierć ojca nastąpiła w roku, w którym kończyła się umowa dzierżawy, tak, jakby dzierżawa ziemi i życie były związane ze sobą. Jakby praca i życie były nieodłączną całością, a gdy zabrakło możliwości pracy, zabrakło też chęci do życia. Po pogrzebie znaleziono wśród papierów leśniczego długi wiersz, w którym skarżył się na los,

przewidywał taki właśnie koniec swego ziemskiego bytowania. Marysia razem z matką i bratem przeniosły się w 1936 roku do Złoczowa. Było to miasto liczące, jak nadmienia Orłowicz, trzynaście tysięcy mieszkańców. W siedemnastym wieku należało do rodziny Sobieskich. W podziemiach kościoła przekształconego w 1836 roku na cerkiew były grobowce sióstr Jana III. Podczas ostatnich wakacji na Gawareczyźnie Marysia z rodziną odwiedziły też zamek Sobieskich w Podhorcach. Zachowało się kilka fotografii z tego ostatniego spaceru po okolicy. Na jednej z nich jest wielka studnia podobna do tej, która była koło leśniczówki. Na drugiej widoczna jest grupka trzech młodych kobiet w jasnych sukienkach, za nimi stoi Marysia w ciemnej sukience. W tle kopuła kościoła świętego Józefa.



Jednak tuż po Pierwszej Wojnie Światowej obywatele miasta nie mogli cieszyć się pokojem. O tym epizodzie historycznym przypomina wydana w 1921 roku przechowana przez rodzinę broszura pod tytułem *Z krwawych dni Złoczowa 1919 roku*. Są w niej zamieszczone relacje naocznych świadków przesłuchań, więziennych tortur i egzekucji. Władysław Pieniążek, były kapitan wojsk austriackich, został aresztowany pod zarzutem zdrady stanu. Podczas przesłuchań zarzucano mu, że *na wypadek zbliżania się wojsk polskich do Złoczowa miał na czele polskiego oddziału*

wpaść na tyły ukraińskie. Gdy próbował tłumaczyć, że planu takiego nie było, został zakrzyczany przez prowadzących przesłuchanie wojskowych ukraińskich *(my wże wsio znajemo)*, a następnie odprowadzony do kaźni. Zastał tam, jak pisze, skatowanego wcześniej notariusza Sawickiego i innych znajomych aresztowanych pod rozmaitymi absurdalnymi zarzutami. Sąd działał szybko, a sądzeni byli pozbawieni możliwości wypowiedzi. Franciszek Jarzębski, zwrotniczy kolejowy, został aresztowany pod zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji kolejarzy, która miała rzekomo wysadzać mosty. Jarzębski wspomina, że następnego dnia, gdy znalazł się w celi po okrutnym pobiciu, wezwano na rozprawę sądową dwudziestu współtowarzyszy. Po rozprawie wszyscy wrócili jeszcze do celi, ale około dziesiątej wieczorem wyprowadzono pięciu, a pozostali usłyszeli salwy plutonu egzekucyjnego. W więzieniu złoczowskim znalazły się też kobiety. Dozorczyni więzienia wspomina, że aresztantki, słysząc salwy plutonów egzekucyjnych mdlały, a oficer, którego prosiły o pomoc przy cuceniu omdlałych śmiał się i twierdził, że tak będzie jeszcze przez tydzień lub dwa, więc zdążą się przyzwyczaić.



Zamek Sobieskiego w Podhorcach.

Kiedy Marysia znalazła się w Złoczowie, echa tamtych *krwawych dni* już przebrzmiały, miasto znowu tętniło życiem. Wieczorami ulice zapełniały się eleganckimi spacerowiczami, którzy czuli się bezpiecznie do późnych godzin. Już wcześniej zamieszkał w mieście starszy brat Marysi, Czesław, który był zawodowym wojskowym. Marysia zaczęła spotykać znajomych brata, nawiązywać przyjaźnie. Z

grupką znajomych odbywali spacery po mieście, chodzili do kina i na koncerty. Poznała też pewnego młodego człowieka, z którym spodziewała się połączyć swe losy w przyszłości. Miał na imię Władysław, ale na kilku zachowanych zdjęciach Marysia zapisała zdrobniałą formę imienia: Władek. Był nieco wyższy od Marysi, szczupły, miał ciemne włosy, krótko przystrzyżone wąsy i nosił okulary. Marysia mogła o nim pomyśleć strofami jednego z wierszy Bohdana Zaleskiego:

Wzniosły, smukły i młody,

o! nielada urody;

śliczny chłopiec – czego chcieć?

Czarny wąsik! biała płeć.

Każde słówko, co powie,

lgnie mi w sercu i w głowie.

Śliczny chłopiec – czego chcieć?

Czarny wąsik, biała płeć.

Nuciła sobie te słowa do melodii skomponowanej przez Chopina, a nazwanej *Canto Polaco (Opus 74 nr 8)*.

Władek był kolegą Gienka, jednego ze złoczowskich przyjaciół, późniejszego dowódcy oddziału Armii Krajowej, w którym znalazła się też Marysia. Na zimowym zdjęciu Gienek stoi obok Marysi w długim płaszczu z futrzanym kołnierzem, na głowie ma ciemny kapelusz. Na innym zdjęciu z wiosny 1937 roku idzie z trójką dziewcząt, z Marysią przy prawym ramieniu. Jest ubrany w ciemny garnitur, sweter i krawat. Twarze idących rozpromienia wiosenny uśmiech. Na zdjęciu z dwudziestego listopada 1938 roku Władek stoi razem z trzema mężczyznami za ławką w parku, na której przysiedli trzej inni koledzy. Mężczyźni bez towarzystwa kobiet są poważni, nie uśmiechają się.

Spokojne spacery ulicami Złoczowa nie trwały jednak długo. Wszelkie plany Marysi o

radosnej i spokojnej przyszłości legły w gruzach we wrześniu 1939 roku. Do miasta wkroczyły wojska sowieckie, zaczął się znowu terror. Mnożyły się aresztowania znaczących rodzin, więźniowie byli torturowani, rozstrzeliwani, a ci aresztanci, którym udało się przeżyć byli zsyłani z rodzinami na Syberię. Zamiast na skwery, koncerty i do kina, mieszkańcy chodzili codziennie na dworzec kolejowy, by sprawdzić czy podstawiono wagony z tak zwanymi *kominkami*, przeznaczone do dalekiej podróży w głąb Kraju Rad. Nie było łatwo odnaleźć krewnych i znajomych, bo grupy zesłańców liczyły zwykle po sto lub nawet dwieście osób. Na dworcu rozgrywały się dramatyczne sceny. W mieście panowały strach i rozpacz.

Marysia mieszkała sama z matką. Brat Czesław brał udział w obronnych bitwach na Śląsku, dostał się do niemieckiej niewoli, lecz zdołał uciec i do końca wojny ukrywał się w majątku krewnych koło Jarosławia. Wiadomość o tym dotarła do rodziny dopiero po wielu miesiącach. Na początku wojny matka i siostra nie wiedziały, czy przeżył i co się z nim stało, potem drżały wciąż o jego los. Same też były zawsze przygotowane, że do drzwi ich mieszkania zapuka NKWD. W przedpokoju stał podręczny bagaż. Marysia i matka dowiadywały się raz po raz, że znajomych ubywa, że tego aresztowano, tamtego rozstrzelano, inni zostali wywiezieni lub są zagrożeni. Doczekały się tego, że do ich mieszkania zostali dokwaterowani Sowieci, zajęli pokoje, a one musiały pomieścić się w małej kuchni.

Represje rodziły opór. Młodzi mężczyźni wstępowali do Armii Krajowej. Za przykładem Gienka również Marysia złożyła przysięgę i otrzymała pseudonim Apolina. Przeszła przeszkolenie, nauczyła się posługiwać bronią krótką, długą oraz granatami. Poznała też metody konspiracyjnego porozumiewania się między poszczególnymi grupami bojowymi. Do jej obowiązków należało utrzymanie łączności między dowództwem okręgu, a komendami powiatowymi w Przemyślanach, Brodach, Krasnem, Busku, Zborowie, Złoczowie i Tarnopolu. Przewoziła rozkazy wojskowe, mapy sztabowe z oznaczonymi rejonami działań lub zrzutów, plany akcji, dokumenty personalne dotyczące awansów, odznaczeń, a także prasę konspiracyjną. Matka, wnuczka powstańca z 1863 roku, wiedziała o działalności Marysi, ale nigdy nie oponowała. Wędrowała po województwie tarnopolskim z fałszywymi dokumentami osobistymi. Pewnego razu miała dostarczyć bardzo ważny i pilny meldunek. Aby go dowieźć na czas, musiała wsiąść do pociągu na dworcu w Złoczowie. Kiedy tam dotarła, zobaczyła, że dworzec obstawiony jest przez niemieckich żołnierzy. Gdy

pociąg ruszał, szybko przebiegła przez tory i wskoczyła do pociągu. Na szczęście żaden z żołnierzy nie zareagował, a dowódca jej oddziału, który obserwował skok, mógł odetchnąć z ulgą. W listopadzie 1943 roku komendant okręgu tarnopolskiego odznaczył Marysię Krzyżem Walecznych i nadał jej stopień plutonowego. Po jakimś czasie przełożeni uznali, że należy przenieść Marysię do pracy w zaopatrzeniu. Nowa praca wymagała zdolności organizacyjnych, Marysia miała dbać o to, by grupy bojowe otrzymywały dostawy na czas. Przez ręce Marysi przepływała żywność, leki i broń.

Gdy ruszyło niemieckie natarcie na wschód, dom, w którym Marysia mieszkała z matką, znalazł się w rejonie nalotów i bombardowań, w strefie szczególnego zagrożenia. Marysia zapamiętała szczególnie jeden bombowy nalot. Pożar wybuchł w sąsiednim domu, przerażona sąsiadka przybiegła z prośbą o pomoc w ratowaniu dobytku. Wyrzucały we dwójkę przez okno, co tylko wpadło im w ręce, opróżniały szafy aż do momentu, gdy runął sufit. Uciekały w popłochu przez kuchnię ciągnąc za sobą ciężki kufer wypełniony odzieżą i pościelą. Gdy były w korytarzu, runął kolejny sufit, musiały porzucić ciężar i ratować się same. Gdy znalazły się na zewnątrz budynku, Marysia z przerażeniem zobaczyła, że jej budynek też stanął w ogniu. Na razie palił się tylko strych, matka wyrzucała przez okna ich rzeczy. Marysia rzuciła się na pomoc, wynosiły teraz sprzęty do ogrodu. W pewnej chwili Marysia potknęła się i upadła na chodnik. Leżały tam fragmenty potłuczonego szkła, które boleśnie ją pokaleczyły. Nie było czasu ani możliwości usunąć wszystkich odłamków z głębokich ran. Skutki tych okaleczeń gnębią Marysię do dziś. Odczuwa ból, zwłaszcza, gdy wchodzi po schodach do swojego powojennego mieszkania.

Razem z sąsiadką i jej współlokatorką, wśród kłębów dymu z pogorzeliska, spędziły noc w ogrodzie. Dopiero następnego dnia poszły do miasta, by szukać schronienia. Znalazły pokój u pewnej kobiety mieszkającej samotnie w dużym domu, ale po kilku dniach przybyła tam jej rodzina, która uciekła ze swojego domu w innym mieście, więc musiały się wyprowadzić. Podczas, gdy cieszyły się ze schronienia w trzecim z kolei miejscu, nadleciały znowu samoloty. Bomby zaczęły spadać w pobliżu, ludzie wybiegli z budynku i w popłochu kryli się wśród zarośli nad rzeką. Marysia z matką zdążyły dobiec do swojego domu, który uległ wprawdzie poważnym uszkodzeniom, ale nie trawiły go już płomienie, a piwnice były tam nienaruszone. Miały dobre przeczucie. Ci, którzy pobiegli nad rzekę, źle wybrali. Wprawdzie żadna z tych osób

nie zginęła, ale wszyscy zostali ranni, bo samoloty siały bomby właśnie wzdłuż rzeki.

Wkrótce po tym nalocie do miasta wkroczyły niemieckie jednostki lądowe. Podczas przemieszczania się frontu mieszkańcy starali się pozostawać w ukryciu, dopiero potem zaczęli wychodzić z piwnic i rozglądać się po okolicy. Marysia i jej matka stwierdziły, że w ich domu brakuje w oknach szyb, zawaliły się fragmenty sufitu, nadpalił się strych. Pomimo tego miały zamiar tam powrócić, ale w ogrodzie znalazły świeży grób i choć nie wiedziały, kto w nim spoczął, nie chciały mieszkać w tym „sąsiedztwie". Dowiedziały się, że w dużej willi siostry ich sąsiadki nie ma lokatorów, bo jej mąż został rozstrzelany przez Sowietów, a ona uciekła razem z dziećmi. Sowieccy żołnierze, którzy tam stacjonowali, zniszczyli wprawdzie i zrabowali sprzęty, ale można tam było mieszkać. Wysprzątały kuchnię oraz jeden pokój i przez miesiąc mogły cieszyć się, że mają nad głową cały sufit, a nawet i dach. Willa zainteresowała jednak niemieckich okupantów i musiały się wyprowadzić. Przez całą wojnę tułały się z mieszkania do mieszkania, zagrzewając dłużej tylko w jednym miejscu. Był to niewielki dom daleko od centrum miasta, co miało tę zaletę, że żołnierze nie mieli zwyczaju tam zaglądać. Ponadto w przydomowym ogródku można było sadzić warzywa. Tam doczekały końca wojny. Gdy wojska niemieckie zaczęły się cofać, stało się jasne, że po nich przyjdą po raz drugi Sowieci. Kto ich poznał wcześniej, nie chciał doczekać ponownego spotkania. Po dziesięciu latach spędzonych w Złoczowie, Marysia i jej matka postanowiły wyruszyć znowu na Zachód, za Bug. Tym razem wiedziały, że wyruszają na zawsze. Wiedziały, jak wiedział poeta, że trzeba się modlić tak:

Jeno wyjmij mi z tych oczu

szkło bolesne – obraz dni,

które czaszki białe toczy

przez płonące łąki krwi.

Jeno odmień czas kaleki,

zakryj groby płaszczem rzeki,

zetrzyj z włosów pył bitewny,

tych lat gniewnych,

czarny pył.

Zezwolenie na wyjazd, które Marysia zdobyła, było dla dziesięciu osób, należało więc znaleźć osiem innych osób chętnych do ewakuacji. Nie było to trudne, choć niektórzy mieszkańcy Złoczowa wciąż się wahali, co robić w tej sytuacji. Problem polegał jednak na tym, że do wagonu mogli wejść tylko członkowie rodziny. Służby dworcowe zainteresowały się osobami zgromadzonymi przy wagonie, ujawnienie prawdziwych nazwisk wszystkich osób groziło śmiercią. Trzeba było działać szybko. Marysia wyjęła z podróżnego bagażu upieczonego na drogę królika i dała urzędnikom. To na szczęście wystarczyło. Wreszcie, około piątej po południu, transport ruszył, a z nim uciekinierzy oraz ich dobytek. Ale gdy dotarli do Janowa, pociąg stanął. Okazało się, że Ukraińcy wysadzili tory. Parowóz wypadł z szyn, trzeba było sprowadzić inny i naprawić szyny. Dworzec w Janowie został też zbombardowany, ale pociąg zdołał odjechać i następnego dnia rano dojechał do Jarosławia. Na dworcu czekał brat matki Marysi, Stanisław, który kilka dni wcześniej przebył z rodziną tę samą drogę ze Złoczowa (do stacji w Złoczowie dotarł z Broszniowa, gdzie przed wojną był dyrektorem kopalni naftowej). Z Jarosławia udali się do Roźwienicy, majątku Górskich, w którym inny krewny był przed wojną zarządcą. Przywitał ich brat Marysi, Czesław, który w Roźwienicy ukrywał się od ucieczki z obozu jenieckiego.

Marysia czekała teraz już tylko na jedno spotkanie: spotkanie z tym chłopcem, którego opisywała sobie słowami Zaleskiego, w takt pieśni Chopina. Czas mijał, ale Władek, który obiecał odszukać ją zaraz po wojnie, nie zjawiał się. Wśród osób z pociągu był jednak inny młody człowiek, uciekinier z Gawareczyzny, kolega Władka i Gienka z oddziału Armii Krajowej, Franek. To smutny, barczysty mężczyzna sfotografowany na ławce w złoczowskim parku w 1938 roku. Wspomnienia i wspólna podróż zbliżyły ich do siebie. Franek odważył się poprosić Marysię o rękę i został przyjęty. Wkrótce po ślubie w kościele w Rudosławicach Marysia i Franek przenieśli się do Jarosławia, gdyż majątek roźwienicki przestał być majątkiem Górskich i przestał być dla nich domem.



W powojennym Jarosławiu życie było trudne. Nawet stali mieszkańcy nie mieli dobrych warunków mieszkaniowych, a co dopiero ci, którzy przybywali z okolic miasta. Marysia i Franek znaleźli jednak pracę i powoli zaczęli remontować przyznane mieszkanie. Kiedy ich po raz pierwszy odwiedziłem, a było to dopiero po mojej maturze, Franek zaprowadził mnie na brzeg urwiska nad Sanem. Wskazał ręką przed siebie. – Tam jest Lwów – powiedział. Nie powiedział nic o Gawareczyźnie. Tamte wspomnienia były zbyt bolesne. Nie przypuszczałem wtedy jak bardzo. Nie wiedziałem, że szeroka, głęboka studnia przy leśniczówce pradziadków stała się grobem dla wielu mieszkańców Gawareczyzny. Nocami, gdy nie mogła spać, Marysia wspominała sąsiadów, których nie ma: Bałuczyńskich, Bakusiewiczów, Bednarskich, Borodyńskich, Czosnykowskich, Garbozińskich, Jureczko, Jurkiewiczów, Kupińskich, Kutyńskich, Kuziemskich, Leśniowskich, Łabuńskich, Manowitów, Mitulińskich, Muszyńskich, Szuszańskich i Wiślińskich.

Franek nie cieszył się dobrym zdrowiem. Życie nie rozpieszczało ułomnego chłopca z biednej rodziny, a warunki okupacji, działalność w Armii Krajowej, dodatkowo nadszarpnęły wątłe siły. Ostatnie lata przeżył w cierpieniu, wymagał intensywnej

opieki, a rok po przeprowadzce do nowego mieszkania zmarł. Natomiast ukochana i dzielna matka Marysi dożyła swych setnych urodzin, a zmarła w wieku 104 lat. Marysia została sama. Żyła spokojnie, z radością przyjmowała gości. Wyjmowała czasem z szuflady w starym kredensie jeden z ocalałych wierszy ojca pod tytułem *Skarga* i czytała.

W głębokim jarze, śniegiem zawianym,

siedzę samotny i zadumany.

Każde wspomnienie serce me smuci,

jak było dawniej, to już nie wróci.

Nie trać nadziei,

mówi duch przyrody,

wiosna zawita, spłyną śniegi, lody,

a promień słońca duszę Twą ogrzeje.

Wiersz został napisany w 1907 roku, jeszcze przed ślubem z Heleną, matką Marysi. A przechowywany był w kredensie, który Józef zamówił u wędrownych cieśli. Kredens i parę innych mebli z tego samego drewna udało się uratować z pożogi wojennej. Zostały przewiezione z Gawareczyzny do Złoczowa, potem ze Złoczowa do Jarosławia. Były uszkodzone, ale spełniały swoje funkcje. Ciemne drewno ze starej gruszy wyglądało elegancko, lepiej niż powojenne krzesła i sprzęt kuchenny. Kiedy zachodzące słońce wpadało przez oszklone drzwi małego balkonu, widać było na powierzchni drewna rozmaite zadrapania. *Ale to nic* – wyjaśniała Marysia. *Na nowszym stole nie ma wprawdzie zadrapań, lecz nie widać też historii* – dodawała. Zmarła w wieku 102 lat.

Słońce, co złotem gaje powleka,

pełne uroku jako przyjaźń człeka;

tam zszedł błogo życia początek,

tam jest mój luby rodzinny kątek […]

Pod drzewem domek dziada, pradziada,

tam mnie na ręku nosiła matka;

wszystko się sercu tak mile śmiało,

wszystko, com kochał, tam pozostało,

mogłaby recytować za Wincentym Polem. Wszystko, ale nie ten kredens, ta szafa i dwie mniejsze szafki. Te stare meble przypominały Marysi pokoje w leśniczówce, starannie przecierała je co parę dni ściereczką od kurzu. W szufladach panował wzorowy porządek. Nie było jednak na półkach ani tomiku wierszy Pola, ani tomiku z wierszem Zaleskiego. Ani broszury o Złoczowie wydanej w 1921 roku. Te książki stoją na moich półkach, to ja mam je czytać i o nich pamiętać. Jak i wiersz Słowackiego o aniołach.

Anioły stoją na rodzinnych polach

i chcąc powitać lecą w nasze strony,

ludzie schyleni w nędzy i niedolach

cierniowemi się kłaniają korony,

idą i szyki witają podróżne,

i o miecz proszą tak jak o jałmużnę.

Rzeko z cudzoziemców strony,

czemu nurt twój tak zmącony?

czy się gdzie zapadły brzegi,

czy stopniały stare, stare śniegi?

napisał Stefan Witwicki, autor między innymi parafrazy Mazurka Dąbrowskiego. Chopin skomponował do tych słów pieśń, która płynie przejmującymi tonami cichego lamentu. Mickiewicz cenił poezję Witkiewicza. Pisał o jednym z jego artykułów, że jest *wyborny, stylem wcale nie warszawskim, bo czystym, jasnym i mocnym*. „Smutna rzeka" Witwickiego i Chopina *śpiewa żałosne pieśn* o spotkaniach z duchami, wtóruje aniołom Słowackiego.

_____

Ryszard T. Sawicki, *W Jarze*:

https://www.cultureave.com/w-jarze/